Rok 1938 31 lipca Nr 31

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ
DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



ORSZULKA KOCHANOWSKA

Czy pamiętacie, słowiki,
słowiki czarnoleskie,
tę uśmiechniętą twarzyczkę
i te oczęta niebieskie?

Nie ma już tamtych słowików.
Od dawna śpiewać przestały.
Wszystkie umarły z żalu,
bo twarzyczkę tę pamiętały.

Czy pamiętasz, lipo pachnąca,
lipo, odziana w kwiat złoty,
te radosne zabawy dziecięce,
te śmiechy i te szczebioty?

O tamtej starej lipie
nie ma już nawet wieści...
Pamiętała te śmiechy wesołe
przeto umarła z boleści...

Czy pamiętacie, ogródka
czarnoleskiego dróżyny,
tupocące w radosnym pędzie
te najmilsze nożyny?

Zginęły z bólu te dróżki,
zarosły trawą te dróżki,
bo nie mogły zapomnieć o tem,
że po nich biegały te nóżki...

Czy pamiętacie, pszczoły,
coście miody zbierały z ogrodu,
Orszulkę, wdzięczną dziecinę,
Orszulkę słodszą od miodu?

Umarły pszczoły... Bo po co
miód kwietny gromadzić do ula,
gdy zwiądł najsłodszy z kwiatków,
gdy umarła maleńka Orszula...

A czy pamiętacie, wy pieśni,
o tej pieszczotliwej Orszulce,
co snem rozgrzana co rano
przybiegała do ojca w koszulce?

Żyją wieczyście pieśni,
pełne bólu, miłości i chwały,
i będą żyć nieśmiertelnie
bo wszystko zapamiętały...

Julian Ejsmond.

Taki wiersz żałobny na śmierć Urszulki napisał młody, niedawno zmarły poeta Julian Ejsmond, ojciec dwu ukochanych synków. Jego ojcowskie serce widocznie musiało do głębi odczuć ból duszy Jana Kochanowskiego po stracie najukochańszej córeczki. Jak zaś sam poeta z Czarnolasu opiewał zgon swojego małego słowiczka — o tym pisał „Dzwoneczek" w nr 34 i 35 1937 r. zamieszczając trzy „Treny" Jana Kochanowskiego. Dawniej imię Urszula pisało się przez O. Obraz, który na wstępie „Dzwoneczka" zamieszczamy, przedstawia poetę Jana Kochanowskiego nad zwłokami Urszulki, a namalował go Jan Matejko, największy mistrz malarstwa polskiego, którego setna rocznica urodzin przypada właśnie 30 lipca.

Bez czego obejść się nie może okręt

(Ciąg dalszy).

Liny manilowe (z włókien bananowych i kosowych) wyrabia się w ten sam sposób co białe, a są od nich lżejsze i pływają po wierzchu, nie tak nasiąkają wilgocią, prędzej schną, mniej zatem się psują niż białe. Są też mocniejsze i w dodatku mają ładniejszy wygląd niż tamte — oraz wyższe ceny.

Z odpadków, pozostałych po zupełnym wyczesaniu włókien, też wyrabia się liny; są one nawet bardzo tanie, ale i nie zbyt mocne, dlatego używa się ich tylko do rzeczy lżejszych, jak np. do wieszania bielizny, na hamaki i t. p.

Poza wymienionymi linami istnieją jszcze linki wyrobu specjalnego. I tak: **loglinki,** używane do logów, czyli przyrządów, za pomocą których mierzy się szybkość statku; **sondolinki,** używane do mierzenia głębokości; **fały sygnałowe,** na których podnosi się flagi sygnałowe; paradne **sterlinki,** używane do sterów na łodziach wiosłowych i inne.

Tam, gdzie trzeba, aby linka się nie skręcała, np. do podnoszenia sygnałów, używa się linek plecionych.

Według grubości dzieli się liny na trzy grupy. Pierwszą stanowią t. zw. linki o średnicy 1 centymetra. Do drugiej należą liny o średnicy od 1 do 5 cm. Do trzeciej t. zw. nadliny, których grubość przekracza 5 cm. średnicy. (C. d. n.).

Gdy się trzęsie ziemia

(Ciąg dalszy).

Chociaż katastrofa ta była na ogół niespodzianką, to przecież zapowiedział ją uczony czeski, który twierdził, że wszelkie trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, straszliwe cyklony i t. p. pozostają zwykle w związku ze słońcem, które jest największym elektromagnesem świata. Gdy ono wykazuje większą czynność, objawiającą się też m. in. „plamami słonecznymi", zwiększa się też na ziemi czynność wulkaniczna.

Pamiętny ów dzień 28 grudnia 1908 roku wzeszedł nad Messyną smutnym, szarym świtem, po nocy zimnej i deszczowej. Miasto pogrążone było jeszcze w cichym śnie, gdy naraz około godziny 5-ej rano wstrząsnął ziemią potworny dreszcz, rozległ się huk piekielny i jednocześnie mnóstwo domów rozwaliło się w gruzy. Po tym straszliwym początku ziemia kołysała się jeszcze w ciągu kilkunastu minut.

Od razu ze wszystkich stron rozległy się jęki i krzyki ludzkie. Ulice, zapełniły się tłumem w pół nagim, przerażonym, obłędnym. Z warg zbielałych zlatywał co chwila cichy szept: „Koniec świata..." — nie pamiętano bowiem w tym kraju, by kiedy trzęsienie trwało tak długo.

Tłum zaczął się rozbiegać w różne strony, byle jak najdalej od domów, byle nie znaleźć się lada sekunda pod zwaliskami własnych mieszkań. Zdawało się wszystkim, że na ulicach bezpieczniej.

A tymczasem w oddali wstawało coś potwornego i szło ku wylęknionym ludziom niby jakaś góra zagłady — straszna, przeogromna... To „góra morza szła do walki z górą ziemi“. Rzuciły się wściekle na siebie, ciskając jedna na drugą to statki i łodzie, to mieszkania ludzkie i żyjące istoty.

Straszna była to walka dwóch żywiołów, pełna ofiar i krwi, ale nie rozegrana. Wtedy morze, jak gdyby chcąc nabrać większych jeszcze sił do nowego skoku, cofnęło się wstecz i potem dopiero wyrzuciło na ląd swoje długie wodne cielsko i bezpazurnymi łapami zdarło wszystko, co tylko na swej drodze znalazło. Gdy potwór wodnisty cofnął się z powrotem, na jego barkach zamajaczyły setki trupów, szczątki łodzi rybackich, resztki domów, mieszkań i sprzętów.

Niestety, i ziemia nie okazała się dla nieszczęsnych mieszkańców Messyny gościnniejsza. Oto na dworcu kolejowym, w chwili, kiedy pociąg napełniony pasażerami wjeżdżał na peron, rozwarła się bezdenna otchłań i pochłonęła wszystko i wszystkich. Pamięć o nich zaginęła, o nich, co może byli najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych. Nikt ich nie szukał, nie mógł nawet pospieszyć z ratunkiem. Byli co dopiero — i znikli w okamgnieniu jak senne widziadło. Głębokie wnętrze ziemi stało się ich wspólnym przeokropnym grobem. (C. d. n.).

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

— Tu nie o rower idzie — rzekł poważnie naczelnik zastępu.

— Stała się taka rzecz, że nic nas powstrzymać nie może — dodał Barski i wychylił resztę herbaty, siedząc między kolegami na suchej grobelce u skraju mokrej łąki.

— Ja wszystko uwzględniam, dalipan. Ależ zmiłujcie się, przyjaciele, przecież wasz kochany trębacz chorobą odpokutuje tę fatalną kąpiel, jeżeli zamiast wygrzać się we dworze, wybierze się na nową wyprawę, nadal oblepiony błotem do pasa... Przede wszystkim trzeba co prędzej tę mokrzyznę zrzucić z siebie, przebrać się do sucha. A tu... do kroćset... nie ma na to sposobu...

Wtem o kilkanaście kroków od nich wypadł z ciemnicy gromki głos wesołego śpiewu Sokolika, który przed chwilą zniknąwszy z pomiędzy nich, wracał teraz po grobli w pląsach, wyśpiewując raźnie krakowiaka, ale wracał niby nie w swojej osobie, z kształtów niepodobny do siebie.

Wszyscy wlepili wzrok w tę stronę, bo ogniska już mało dawały światła i trudno było od razu rozpoznać, jak się Stach, trefniś obozowy, nagle przebrał i czym w rękach wywija podczas tańca. Tymczasem nad łąką huczały słowa krakowiaka:

Alboż my to, niech kto powie,
nie Macierzy swej synowie,
nie Macierzy swej synowie,
złoci paniczowie?
Zamiast jak w obroże
zamknąć kark w kołnierze,
obozowe łoże
każdy z nas wybierze...

Teraz już spostrzegli, że śmigły góral tańczy na bosaka po trawie rosistej, że wdział na siebie coś w rodzaju białej spódnicy, a w powietrzu butami wywija, wyśpiewując pełną piersią:

Alboż my to jacy-tacy
nie harcerze, nie junacy,
nie harcerze, nie junacy,
skauci krakowiacy?
Szkoda nóg dla bruku,
dość go tłuką konie,
my pędzim bez huku
za miastem przez błonie.

W podskokach przypadł tanecznik do Bolka, rzucił na ziemię co trzymał w rękach, schylił się nagle i za nogi porwał znienacka trębacza.

— Pomóż, Janku — zakrzyknął i zsunąwszy się po stoku grobli nieco niżej od siedzenia paru kolegów, jął próbować, czy od razu uda mu się ściągnąć mokre buty z nóg Barskiego.

Wśród zamieszania i wrzawy zabrano się do tego ze śmiechem, lecz nie szło. Jeden po drugim próbował, a buty siedziały jednako na nogach Bolka, który używał wszelakich sposobów, by druhów odwieźć od tego zamiaru, a Stacha nakłonić do obucia się z powrotem.

Sokolik dowcipkował, jak to mu się teraz przypomną z dzieciństwa jego pląsy na bosaka po halach tatrzańskich, kiedy mu się jeszcze między kolanami plątała jeno koszula chłopięca.

— Ot, jak nie przymierzając w tej chwili — śmiał się, podbiegając z powrotem do stóp Bolka, by dalej ciągnąć przylepione buty.

A wyglądał, zaiste, pociesznie. Zdjął bowiem przed chwilą, od pasa począwszy, w dół wszystko co miał na sobie i osłonił się z przodu niby kucharz białymi fartuchy, dwoma płachtami grubego płótna, które z sobą nosili do ochraniania rzeczy w razie deszczu, lub na pośpieszne zrobienie namiotu.

Niestety, nikt z nich nie miał tym razem z sobą zapasowych trzewików, ni spodni, by umożliwić Bolkowi przebranie się w suche rzeczy. Stach tedy uznał, że jeden z nich musi ofiarować towarzyszowi własne ubranie i obuwie.

Ponieważ zaś skaut nie lubi dawać się nikomu wyprzedzać w tym, co zamyśli zrobić, nie czekał i on aż ktoś inny postanowi coś podobnego. Zniknął w ciemności i za chwilę gotów był służyć druhowi swoją bielizną, swoim ubraniem i obuwiem, byle nie narazić go na chorobę.

Nareszcie po wielu wysiłkach powiodło się rozzuć Bolka, a następnie i rozdziać do pasa. Osuszono go pośpiesznie, poczem natarto silnie ciało terpentyną.

— A widzicie, jak nam się przydało całe pogotowie ratunkowe, zabrane na wypadek znalezienia Czarnuszki w bagnach leśnych — mówił Zawisza, gdy Barski już w suchej bieliźnie i w spodniach Stacha, obuwał się, uspokajając kolegów, że go rozgrzało najbardziej smarowanie. (C. d. n.).

WOJTUSIOWA WYPRAWA.

(Ciąg dalszy).



Od zbójców kraj uwolniony —
Wojtuś będzie nagrodzony.
Dostanie złota od króla...
Doktora czeka matula.



Król żąda nowej przysługi:
Pokazuje zamek drugi...
Królewna tam ciągle chora —
W noc nie da spać jakaś zmora.

(Ciąg dalszy nastąpi).